

Z lotu ptaka

Człowieku widzisz? Słyszysz, jak liść spada z drzewa na niezruszoną tafle wody? Dostrzegasz ten moment, gdy powstaje pierwsza fala? Czy choć raz zatrzymałaś się? Czy pomyślałaś, co się z nim stanie?

Poświęć mi chwilę. Pragnę ci opowiedzieć moją historię. Jestem jednym z wielu, moje ciało pokrywają czarne pióra. Wy nazwaliście mnie " wysłannikiem śmierci", może macie racje. Bo moje życie jest nią wypełnione. Jednak pomimo to poszukiwałem szczęścia. Zdawało mi się, że nawet odnalazłem swój raj. Byłem szczęśliwy, kiedy na moje śpiewy, niezdarne zaloty odpowiedziała najcudowniejsza i najpiękniejsza wrona, jaka tylko po tym świecie latała. Wiatr był szczęściarzem, mogąc unosić tak niebiańską istotę. Zakochałem się w jej spojrzeniu, ukazującym to cudowne wnętrze, w czarnych niczym smoła piórach, które delikatnie układała dziobem. I to właśnie ona wybrała mnie spośród innych na towarzysza życia.

Zbudowaliśmy gniazdo na moim rodzinnym drzewie, na najwyższej gałęzi nieopodal moich sióstr i braci. Oczekiwaliśmy naszych wspólnych piskląt. Jednak gdy nadchodzi szczęście, tuż za nim idzie smutek.

Pewnego dnia podczas przeciągającej się suszy poszukiwałem w okolicy pokarmu, a ona pilnowała naszych jaj. Przyszedł człowiek do lasu, dużo ich przychodzi, lecz ten wyrzucił dymiący patyk z dzioba i wówczas rozpętało się piekło.

Wracałem właśnie z kawałkiem chleba dla mej ukochanej, gdy nagle zobaczyłem ogromny dym, trzask gałęzi, skwierczenie drzew, wszystko pochłaniał przez nieokiełznany ogień. Wołałem ją, lecz nie usłyszałem jej anielskiego głosu wśród miliona innych wołających o pomoc.

Pospiesznie omijałem spadające gałęzie, przedzierałem się przez zasłony dymu, aby do dotrzeć do moich bliskich. Miałem nadzieję, że nie jest za późno... Człowieku czy ty wiesz, jak to mnie zabolalo? Dotarłszy na miejsce, zobaczyłem ją leżącą pod grubym konarem nieruchome, a jeszcze, niedawno tętniącą życiem, obok jej martwego ciała leżały nasze dzieci również martwe. One nawet nie miały szans poczuć wiatru w skrzydłach. Odnaleźć miłości. Jaki to widok dla męża i ojca, kiedy wszystko, co się kocha, zostaje zniszczone przez jedną istotę.

Ogień pospiesznie gnał w moją stronę, jeszcze z niedowierzaniem podnosiłem głowę mojej jedynej, mając nadzieję, że się obudzi, że wzbije się w przestworza ze mną... ale tak się nie stało. Musiałem uciekać, choć chciałem tam zostać, razem z nią. Jednak instynkt był silniejszy, wbiłem się wysoko w górę i widziałem, jak płomienie pochłaniają moją rodzinę. Wy ludzie mówicie, że istnieje coś takiego jak niebo, jednak tam widziałem jedynie piekło.

Wznosząc się ku górze, cierpiałem choć me oczy nie roniły łez. Niebo cierpiało razem ze mną i moimi braćmi w niedoli. Po raz pierwszy od kilku miesięcy spad deszcz. Jego żałobna szata okryła całe niebo, a kryształowe łzy ugasiły piekielne ognie.

Jednak było już za późno. Ognisty kwiat zabrał wszystkim to, co najcenniejsze. Pozostawiając po sobie jedynie czarną, jałową, plamę zniszczenia, sięgającą aż po horyzont.

Tak zaczęła się moja tułaczka. Razem z setkami uchodźców poszukujących schronienia i pożywienia, podróżowałem tam, gdzie horyzont nie sięga. Leciałem przed siebie niczym w amoku, mając przed oczami ten straszliwy dzień, nie dostrzegając nawet, i kiedy nastąpiła zima.

Z otępienia wybudził mnie pierwszy śnieg. Musiałem znaleźć schronienie. Kryłem się w gałęziach bezlistnych drzew, jednak przy większych mrozach mogłem zamrznąć. Oprócz braku kryjówki dokuczał mi głód. W poszukiwaniu pokarmu zbliżyłem się do waszych dziwnych gniazd, tam zostawialiście ziarno dla nas i inne przysmaki. Powinienem raczej powiedzieć dla tych małych, piszczących żebraków, które nawet podczas obfitego lata nie pogardzą darmowym jedzeniem. Większe ptaki takie jak ja, które próbują poczęstować się choćby kęsem, są natychmiast przeganiane dla uciech rozćwierkanego chóru.

Głód zimą nie był niczym nowym, ale brak gniazda, które choć trochę chroniło przed mrozem, stało się śmiertelnym niebezpieczeństwem. Na szczęście wiatr mnie pewnego wieczora przygnał do opuszczonego przez was gniazda. Różniło się od innych tych, które w swoim życiu widziałem. Miało na górze skrzyżowane ze sobą dwa kije i takie dziwne figury ze skrzydłami, a były one wykonane z całości z kamienia. Nieci przypominali was, ale nie byliście to wy.

Wleciałem do środka przez otwór w kształcie okręgu. Usiadłem na balu nieopodal wyrzutków, takich jak ja. Znajdowało się tu istna zbieranina zwierząt. Była sójka, lecz nie olśniewała swymi barwnymi piórami tylko wpatrywała się w światło z pustym wyrazem, parę rozwrzeszczanych wróbli, rybitwa lecz nazwałem ją weteranem wojny z kotem, a to wszystko przez brak prawej łapy, która została pożarta przez owe zwierzę. Całości jednak dopełniały myszy, parę szczurów i nietoperze.

Jednak spośród wszystkich tych osobliwości największą moją uwagę przykuł stary puchacz. Biała sowa wpatrywała się we mnie swymi dużymi oczami, jakby prześwietlając moją duszę w ciemnościach. Podczas tej zimy staliśmy się swego rodzaju rodziną. Byłem jednym z rodziny wyrzutków.

Jednak mnie i puchacza paczyła niewytłumaczalna wieź. Ja mu opowiadałem o moim życiu, a on mnie uczył, jak stary mistrz ucznia. Od niego dowiedziałem się, że miejsce, w którym mieszkamy, jest przez was nazywany kaplicą i że to tutaj rozmawiacie z duchem, którego nazywacie Bogiem. Nie rozumiałem was i nie rozumiem nadal. Pragnę tylko, aby człowiek zrozumiał proste zwierzę.

Pewnego ranka sójka niczym poparzona wyrwała się na zewnątrz, krzycząc " wiosna, wiosna...". Za nią wyleciały wróble, weteran i ja, aby odetchnąć tym wspaniałym powietrzem, nacieszyć się tą chwilą. Zrobiwszy parę kółek, spostrzegłem, że nie ma puchacza. Wleciałem z powrotem do wnętrza kaplicy ujrzałem go, jak siedzi i wpatruje się w pierwsze tańczące promienie słońca. Siadłem koło niego

i wchłaniałem w spokoju te bijące ciepło. Zamknąłem oczy na moment. Wtem rozległy się słowa echem w opustoszałym gnieździe "Lecimy".

Puchacz rozprostował swoje ogromnie skrzydła i z lekkością wyleciał przez okno. Staralem się go dogonić, jednak pomimo wysiłku był o długość ogona przede mną.

Lecieliśmy tak przez dobrą chwilę, unoszeni i poganiani przez wiosenny zefirek. Wreszcie usiadł na gałęzi pełnego pąków drzewa. Milczał przez dobrą chwilę, dając mi czas na rozejrzenie się. Początkowo nie wiedziałem, co mam ujrzeć, lecz nagle zdałem sobie sprawę, że to miejsce to mój dom. Niegdyś zniszczony przez pożar, teraz budził się do życia. Wystrzelił żółtym i białym kwiatem, pragnąc się odrodzić. Spojrzałem na puchacza, ten przeszył mnie wzrokiem tak jak tego pierwszego wieczoru i powiedział " Teraz czas byś i ty powstał z popiołu.". Po tych słowach odleciał zostawiając mnie samego.

Postanowiłem jeszcze raz znaleźć swoje miejsce. Zacząłem budowę nowego gniazda nieopodal jednego z waszych i gdy było prawie gotowe, drzewo, na którym się znajdowało, znowu zostało zniszczone. Tym razem obudził mnie hałas waszej maszyny, która bez trudu wgryzła się w pień niczym bóbr. Zbudowane przez mnie gniazdo runęło na ziemię.

Ponowiłem moją wędrówkę i siedząc na jednym z parkowych drzew, ujrzałem zjawę prawdziwą. Wiedziała, że to niedorzeczne, by ona powróciła. A jednak powróciła do mnie tylko w innym wcieleniu, niczym czarna anioł zstąpiła z nieba.

Przy niej moja rana nieco się zasklepiła lecz cierni na zawsze zostanie tam w sercu głęboko, tak jak bolesne wspomnienie minionego roku. Tak jak ten liść spadłem, lecz wzleciałem z powrotem na gałęzi. Lecz człowieku patrz, słuchaj, dostrzegaj.

Kruk